

# BIUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE.

Nr. 45.

Rok 1922, Warszawa, 4 listopada

Rok LV.

PROSIMY O WNOSZENIE PRENUMERATY NA KWARTAŁ CZWARTY.

## Z różdżką oliwną

Już w okresie pertraktacji Wersalskich zaczyna się pojawiać na zielonych stolikach dyplomatów słowo: rozbrojenie. Pojawia się jako enigmatyczna przyszłość, wabiąc i nęcąc. Sceptycyzm wykrzywia wargi tych, którzy je wymawiają. Przypomina się pałac pokoju w Hadze, wzniosłe postanowienia o ograniczeniach sposobów walki, przez wszystkie strony akceptowane, i okropności wojny gazowej, lotniczej i t. d. i t. d.

Na drugi dzień po traktacie Wersalskim już witali niektórzy dyplomaci wschodzącą zorzę powszechnego pokoju. Pomyślana przez garść teoretyków i kilku sprytnych Liga Narodów jako nadbudowa ponadpaństwowa Europy, jako rząd przyszłych federacyjnych stanów europejskich, brała się rączo do pracy — głosząc pokój i rozbrojenie.

Oczywiście, że właściwymi głosicielami rozbrojenia Europy stali się Anglicy. W chwili, gdy do portów angielskich wpływała ujarzmiona potęga pancernych olbrzymów niemieckich — sprawa rozbrojenia dla nich była zdecydowana.

Stąd też w historii rozbrojeniowej mamy tak często do czynienia z projektami angielskimi.

Głośny w swoim czasie projekt lorda Eshera, ustalający mnożnik dla poszczególnych państw i zgóry automatycznie, nie bacząc na warunki bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego, ustalający normy sił

zbrojnych — był skazany z góry na niepowodzenie. Równie niefortunnym okazał się projekt lorda Cecila, zawierający punkty paktu gwarancyjnego, mającego obowiązywać wszystkich kontrahentów, jak również projekty, tworzące międzynarodowe siły zbrojne na usługach Ligi Narodów. Wszelkie plany rozbrojeniowe dotychczas miały ten brak, iż nie liczyły się z realnymi warunkami życia. Były one jakgdyby rozumowaniem w sferze idealistycznej, były pia desideriami, których realizacja doprowadziłaby mogła do zupełnie konkretnych niebezpieczeństw.

Usiłowaniami tym zdecydowanie i zasadniczo przeciwstawiła się Francja, reprezentując w tym wypadku swój interes, jakoteż i narodów, związanych z nią moralnie i politycznie i zawierających jej autorytetowi w zagadnieniach międzynarodowych. Wyraźne stanowisko, określające pozorne rozbrojenie Niemiec, odwetem żyjących i ukrywających pod ziemią szeregi swych organizacji wojskowych, jako zagrażające pokojowi powszechnemu i stwarzające niebezpieczeństwo, które uniemożliwia wszelką na wielką skalę pomyślaną demilitaryzację sąsiednich narodów — postawiło stanowczą tamę wszystkim „idealistom“ pokoju.

Z drugiej strony przeszkodą do urzeczywistnienia pięknych snów o spalaniu na stosach wszelkiego rodzaju narzędzi mordu było sfinksowe oblicze generalissimusa ze Wschodu, który ze swej czerwonej

gwiazdy bynajmniej nie miał zamiaru robić gwiazdki betleemskiej, zwiastującej „pokój ludziom dobrej woli“.

Demilitaryzacja psychiczna społeczeństwa polskiego, jaka dokonała się na drugi niemal dzień po podpisaniu pokoju, mająca swe źródło tak w przemęczeniu długimi latami wojny, jak i w łatwości ulegania nastrojowi chwili, stworzyła i u nas podatny grunt dla propagandy na rzecz rozbrojenia. Wprawdzie nie poszła ona zbyt szeroko, dzięki temu, że poczucie blizkiego niebezpieczeństwa ze Wschodu i Zachodu było jednak zbyt istotne, miała jednak dosyć sił, by osłabić i tak niezbyt gwałtowny pęd w społeczeństwie ku oparciu właściwej swej mocy na sile zbrojnej.

Walka z tymi prądami, które pod pozorem humanitaryzmu, taniego liberalizmu i pięknie brzmiącej miedzi wielkich haseł wkradają się do nas, by zmniejszać naszą odporność, musi być podjęta na całej linii. Jeśli na terenie rozpraw międzynarodowych mamy do tego powołanych polityków i statystów, to jednak tu u nas brzemień tej pracy musi na siebie wziąć każda jednostka.

Nie rozbrajają się sąsiedzi. Przeciwnie. Mężnie, wytrwale pracują nad swą siłą zbrojną. Tam zwróćmy apostołstwo, które ku nam idzie. Pragniemy pokoju, ale pokoju pod bezpiecznym skrzydłem obrońców.

K. L.



# KUPUJCIE POŻYCZKĘ ZŁOTĄ

## Budżet społeczny, a budżet państwowy

Od chwili, w której dochody skarbu państwa z daniny państwowej zostały wyczerpane — marka polska weszła w ponowny okres spadku jej wartości, a zatem w ponowny okres wzrostu drożyzny.

Zbytecznym dziś byłoby już dowodzić, że dopóki praca państwowych zakładów graficznych — wytwórni marek polskich będzie tak „wydajną”, że dopóki skarb państwa nie posiada źródła innych dochodów, jak z druku nowych banknotów — dochodów, które pokryją wszystkie jego wydatki — dopóty stabilizacja waluty jest niemożliwą, jak również niemożliwe jest zatamowanie drożyzny.

Zbytecznym również byłoby dowodzić, że nie można bez końca drukować pieniędzy t. zn. pobierać od obywateli podatki, drogą zmniejszania wartości, już przez obywateli zarobionych, wzgl. posiadanych banknotów, gdyż wiemy, że spada wówczas nie tylko indywidualna wartość jednostki monetarnej, ale również spada wartość całej emisji.

Obydwie te zasady są już dziś znane, zrozumiałe i dostatecznie często publikowane.

Zdawałoby się, zatem, że niema prostszej odpowiedzi na pytanie jak stabilizować markę i zatamować wzrost cen, jak — zrównać budżet państwowy t. j. wszystkie wydatki państwa przystosować do dochodów, albo dochody powiększyć tak, aby pokryć nimi wszystkie wydatki.

W tym zaś celu należy przedewszystkiem podnieść odpowiednio podatki i przynajmniej zmniejszyć, jeżeli już zupełnie nie znieść deficytów przedsiębiorstw państwowych, jak np. kolei.

Jakież przyczyny stoją na przeszkodzie wprowadzeniu tej zasady w życie?

Pomijając już wrodzoną niechęć obywateli, do płacenia podatków, a co zatem idzie niechęć do ich uchwalenia przez reprezentantów tych obywateli, uwzględnić musimy przedewszystkiem zmniejszoną siłę podatkową poszczególnych jednostek, a co zatem idzie i całego społeczeństwa, które, przeciętnie biorąc, ma mniejsze zarobki, niż przed wojną.

Z drugiej zaś strony stabilizacja marki, jeszcze bardziej zaś podniesienie się jej kursu powoduje kryzys w przemyśle i handlu, powstały na tle konkurencji zagranicznej, a co zatem idzie bezrobocie i brak zarobku szerokich mas. Wniosek więc będzie taki: trzeba podnieść zdolność podatkową obywateli; na to trzeba zwiększyć ich zarobki. Chcąc tego dokonać, należy zwiększyć wytwórczość kraju, gdyż innej drogi na to niema.

Cóż się jednak wtenczas stanie? Stabilizacja marki wywoła kryzys, gdyż organizm gospodarczy przystosowany w ciągu lat kilku do spadku waluty, musi odczuć stabilizację; kryzys zaś zatamuje przemysł ponownie i wywoła obniżenie się produkcji.

Widzimy więc, że prosty napozór problemat, staje się po bliższej analizie problematem bez wyjścia, węzłem gordyjskim nie do rozplątania.

Kryzys wywołuje wprawdzie spadek cen. Niestety jednak ten spadek następuje szybko w dziale wytwórczości przemysłowej, bardzo trudno natomiast w dziale produktów żywnościowych. Łatwiej bowiem wstrzymać się od zakupu tych pierwszych, niż tych drugich. Z drugiej strony wytwórcę przemysłowego zmusza konieczność uzyskania środków płatniczych dla pokrycia należności do obniżenia swych cen, konieczność, którą w znacznie mniejszym stopniu odczuwa rolnik, szczególnie drobny, pracujący sam na własnym gruncie.

Danina państwowa, która umożliwiła zatrzymanie na pewien czas maszyny drukarskiej, wywołała kryzys, nie spowodowała jednak obniżenia się cen artykułów żywności, gdyż rolnicy, posiadający dostateczną ilość gotówki, słabo daniną obciążeni, nie mogli odczuć braku środków płatniczych i nie tylko, że nie byli zmuszeni do obniżania cen, ale je jeszcze podwyższyli, chcąc ciężar daniny zepchnąć z siebie na innych, t. j. na konsumentów. Danina więc nie zmniejszyła wydatków poszczególnych obywateli, a tem samem nie zwiększyła ich siły podatkowej. Zresztą nie mogła ona tego dokonać, gdyż była za małą i zbyt późno ściągana; zresztą przyczyny natury psychologicznej odegrały tu doniosłą rolę. Ten, co cenę obniża, zawsze czuje się poszkodowany i uważa, że poniósł stratę, mimo, że uzyskując marki w mniejszej liczbie, lecz bardziej wartościowe, faktycznie żadnej straty nie ponosi, lecz przeciwnie, jeszcze zyskuje.

Jednym słowem wydaje się, że zarówno polityka finansowa, zdążająca do zrównania budżetu, jak i przejęta obawą zbyt dużego obciążenia obywateli podatkami jednako prowadzą do delegliwości i zawikłania gospodarcze.

Musi zatem istnieć droga pośrednia, albo też zdecydować się [musimy na zło mniejsze i rozpatrzyć jego konsekwencje i im odpowiednio zaradzić.

Drogi pośredniej nie widzimy, postaramy się więc ocenić, które zło jest mniejsze, ale z zastrzeżeniem, że [niekoniecznie ma ono iść po linii najmniejszego oporu.

Zaznaczyliśmy już wyżej, że drukowanie banknotów, jako główny dochód skarbu, pociąga za sobą nie tylko spadek indywidualnej wartości marki, ale zmniejszenie się wartości całej emisji.

Dlaczego się tak dzieje?

Jeżeli przypuścimy, że wartość emisji, nie opartej na złocie, stoi w pewnym stosunku do majątku narodowego (państwowego i społecznego) i wartości produkcji kraju, to oczywiście będzie, że przy zmniejszeniu się kapitałów w kraju i majątku państwa musi obniżyć się wartość emisji banknotów. Otóż przy bliższym zanalizowaniu naszego życia gospodarczego stwierdzić musimy, że przy systemie inflacji kapitały nasze ulegają bezustannemu zmniejszeniu, czyli, że kraj ubożeje, bo zjadamy kapitał — wydajemy więcej, aniżeli zarabiamy.

Twierdzę, że każdy obywatel\*) w Polsce wydaje więcej, niż zarabia.

Nawet ten urzędnik b. solidny, utrzymujący się z miesięcznej pensji, który nie wydaje ani jednej marki więcej od liczby marek — którą zarabia, żyje z kapitału. Wystarczy, że ten urzędnik, niszcząc ubranie i posiadaną bieliznę nie zastępuje jej nową, czyli w budżecie własnym nie uwzględni amortyzacji posiadanych ruchomości, a stwierdzimy, że żyje z kapitału.

Akcjonariusz, który wydaje na życie całą dywidendę, jaką przynosi mu jego akcje, zapomina, że akcje nie idą w górę w tym stosunku, w jakim spada waluta, gdyż większe dochody towarzystw akcyjnych są tylko pozorne; spadek kapitału muszą pokrywać nowymi emisjami. Akcjonariusz, który nie nabędzie nowej emisji, zjada swój kapitał, gdyż po każdej nowej emisji jest on posiadaczem w znacznie mniejszej części danego przedsiębiorstwa.

Właściciel domu, który go nie odnawia, zjada swój kapitał, gdyż dom się zużywa. Takich przykładów możemy wyliczyć tysiące.

Przechodzenie zakładów przemysłowych lub handlowych, będących w posiadaniu jednostek, na spółki akcyjne) jest również jednym więcej dowodem erozji kapitałów.

Możemy powiedzieć [jednym słowem, że jeżeli jednostka, jako funkcja X, żyje z kapitału, to społeczeństwo, jako całość tej funkcji także zjada kapitał. Innymi słowy — społeczeństwo zmierza do bankructwa.

Najpilniejszym więc zadaniem społeczeństwa jest zrównać swój własny budżet — nazwijmy go [budżetem społecznym. Zrównać — to znaczy doprowadzić do tego, aby rozchody poszczególnych obywateli nie przewyższały ich [dochodów. W praktyce będzie to znaczyć, aby konsumpcja nie przewyższała naszej produkcji:

I tu postawić należy pytanie: czy jest możliwym dokonać tego dzieła przy systemie inflacji?]

Zrównanie budżetu społecznego wymaga, aby każdy obywatel miał możliwość budżetowania; przemysłowiec musi wiedzieć, jaką cenę ma postawić zagranicznemu na-

\*) Każda jednostka prawna czy fizyczna.



bywcy za towar wykonywany na zamówienie, przedsiębiorca budowlany musi wiedzieć, jaki kapitał potrzebny mu jest, na wybudowanie nowego domu, czyli stworzenie nowej wartości realnej.

Wszystko to w okresie, w którym trwa spadek pieniądza, spadek, którego rozmiarów przewidzieć nie można, jest zgoła niemożliwe. Wszelka oszczędność staje się wykluczoną, życie prowadzi się z dnia na dzień — kapitały

zjadane maleją, państwo dąży do ruiny. Dlatego też wydaje nam się, że zrównanie budżetu państwowego jest zagadnieniem najpilniejszym, które rozwiązać należy przed zagadnieniem zrównania budżetu społecznego; uczynić to należy bez względu na wszelkie mogące stąd wyniknąć następstwa. Jeżeli się ciągle mówi i pisze, że bez ofiar ze strony społeczeństwa waluty dobrej się nie stworzy, to uznając słusz-

ność bezwzględną tego poglądu, stwierdzimy, że kryzys, jaki przyjdzie nam przeżyć, wielki wysiłek, jaki nas czeka, a którego będziemy musieli dokonać nad obniżeniem kosztów produkcji — będzie właśnie jedną z tych ofiar, jaką kraj poniesie. Będzie to jednak ofiara zdrowa, która nie ginie, jak nic nie ginie w naturze, nie może więc zginąć i praca, która będzie włożona w dokonanie tego dzieła.

Witold Eychler.

## Szkoła Pracy

### CELE, ZADANIA I METODY.

Wśród nowoczesnych haseł pedagogicznych wysuwa się na czoło w ciągu lat ostatnich hasło „szkoły pracy“. Odrązu zaznaczyć należy, że termin ten nie oddaje wiernie ideologii tego kierunku. Jest on dosłownym tłumaczeniem niemieckiego „Arbeitsschule“, gdy chodzi raczej o „uczenie przez czyn — „learning by doing“.

Rozwijająca się wzmocnionym tempem szkoła polska pragnie nadać za postępowaniem Zachodu, przejmując jego kierunki nauczania i wychowania, najczęściej jednak za pośrednictwem Niemiec. Źródła wszakże „szkoły czynu“ szukać należy w Ameryce. Tam, gdzie tętni życie przemysłowe, gdzie gorączka wytwórcza pochłania rzesze, ostać się mogą jeno jednostki dzielne, energiczne — ludzie czynu! Do tego życia czynnego musi przygotować szkoła. Nietylko jednak do pracy w fabrykach lub warsztatach, czy na roli, bo Ameryka potrafiła dać nam również wspaniałe wzory dzieł humanitarnych, pracy intelektualnej, wysokich wysiłków ducha, imponujących pomników kultury.

Każda szkoła, powszechna, czy prywatna, początkowa, czy średnia może wszędzie stać się szkołą pracy, gdyż w każdej można zastosować metodę uczenia przez czyn, czyli przez wprowadzenie przy nauczaniu każdego przedmiotu momentu czynnego współdziałania dziecka.

Szkoła czynu ma być twórczynią lub raczej rzeźbiarzem tężyzny duchowej i fizycznej, ma wyrabiać hart i samodzielność, kształcić sprawność, wolę i charakter. Uzbijając do walki o byt, winna jednocześnie przez podnoszenie kultury swych wychowanków łagodzić brutalne tej walki formy, nadając jej piętno ludzkie.

Przez wyrabianie świadomości życia zbiorowego doprowadzić do poczucia zgodności interesów jednostki z interesami ogółu. Gdy dotychczas w szkołach kładziono nacisk przede wszystkim na rozwój intelektualny, dziś pragniemy uwzględnić jednocześnie i stronę życiową wychowania. Tak przedstawiają się w ogólnych zarysach cele i zadania szkoły czynu. Gdzież bardziej, niż w Polsce, winny one znaleźć zastosowanie? I nie dlatego, by młodzieży naszej ułatwić zdobywanie majątku, by wychowywać przyszłych Carnegie'ch, czy Rockefeller'ów, lecz by na mocnych, realnych podstawach, na ludziach zdrowych, zdrowo myślących i umiejących pracować, budować

przyszłość narodu. Wychowaniec szkoły, wstępujący w życie, winien umieć zdobywać się na maximum wysiłku w swej dziedzinie pracy, bo wyteżonej i świadomej pracy potrzeba, by zagoić rany, zadane nam przez wojnę i niewolę i dogonić w rozwoju inne, szczęśliwsze kraje. Suma zaś tych wysiłków jednostkowych będzie stanowiła o całokształcie życia narodu.

Nasza szkoła czynu musi być szkołą polską, abyśmy znów nie byli „pawiem narodów i papugą“, lecz wytworzyli własne drogi i metody, przystosowane do naszego charakteru, psychiki i warunków.

Sięgnąć też możemy i czerpać ze spuścizny naszych rodzimych pedagogów. Myśl sama bowiem „szkoły czynu“ nie jest zupełnie nową. Kształtowała się ona stopniowo i przybierała różne formy, przenikając, jak wszystkie ideje, powoli do świadomości ogółu i przechodząc z teorii do praktyki.

Polska niepodległa nie stała w tyle w swoich usiłowaniach pedagogicznych. Snuje się hasło czynnego nauczania i w postulatach Komisji Edukacyjnej i w dziełach naszych pisarzy. Trentowski w swej „Chowannie“ powiada, że: „jaźń człowieka powinna się ujawniać w samodzielnym czynie“, a dalej wskazuje wychowawcy: „Tylko nie wezwyczaj wychowanka do wiernego powtarzania zdań i sądów twoich... bo ty nie małą twoją, nie obraz i podobieństwo siebie samego, ale oryginalne bóstwo masz wychować!“

O, nie wkładaj świeżemu, silnemu duchowi pęt na jego łone skrzydła; bo on może te pęta raz na zawsze zatrzymać i z orła zamienić w strusia!“ Estkowski podkreśla konieczność wprowadzenia wychowanka w świat życia praktycznego, i domaga się, by uczeń obserwował, poznawał i odtwarzał.

Wśród znakomitych pedagogów obcych Komeński wskazywał, iż: „ludzi należy wychowywać tak, aby najpierwszej mądrości swojej nie czerpali z książek, ale z patrzenia na niebo i ziemię.“ Froebel żądał czynnego udziału dziecka w pracy i nauce. Pestalozzi przez prowadzenie nauczania poglądowego pragnął przyzwyczajać dziecko do samodzielnej obserwacji, do tworzenia pojęć własnych, nie narzuconych z zewnątrz. Średniowieczna zasada, że „ciekawość to pierwszy stopień do piekła“ ustępuje miejsca przekonaniu, że jest ona pierwszym stopniem do wiedzy. Później Meumann dowiódł, że dzieci umieją i rozumieją to, co niejako przeżyły i doświadczyły. Pięknie zastosowuje zasady nowoczesnych dążeń

poglądowego nauczania w swoich „Domach dziecięcych“ dr. Marja Montessori.

Aby uzmysłwić metodę uczenia przez czyn, przedstawię teoretyczny dzień pracy ucznia. Jaś wstaje rano, sam się myje, ubiera, sam czyści obuwie i ubranie, doprowadza do porządku swoje łóżeczko. Książki i wszystko, co mu do szkoły potrzebne, ma już uprzedniego dnia przygotowane. Po przyśściu do szkoły sam uważa, by zwierzchnie ubranie jego było porządknie w szatni powieszzone. Ponieważ jest dnia tego „porządkowym“, czy to przez nauczyciela wyznaczonym, czy też z ramienia samorządu klasy, sprawdza, czy kreda i gąbka są przy tablicy, przynosi dziennik i sprawdza obecność uczniów. Spóźniających się zaznacza na arkuszu, przytwierdzonym do ściany. Do pierwszej lekcji polskiego, Jaś [lub inny chłopczyk, do tej czynności wybrany, przygotowuje obrazek, o którym mają dziś opowiadać. Podczas lekcji dzieci opowiadają treść obrazka, układają samodzielnie plan pisemnego wypracowania. Nauczyciel kieruje samodzielną ich pracą, podkreślając rzeczy ważniejsze, regulując chaotyczność i tp. Podczas pauz Jaś otwiera okno, sprawdza, czy kwiaty są podlane, czy rybka w akwarjum nakarmiona, poczem bawi się z kolegami. Na lekcji arytmetyki dzieci układają same zadania na temat np. życia szkolnego, ilości obecnych w klasie, ich rozmieszczenia w ławkach i tp. Na następną lekcję rysunków Jaś przygotowuje modele i tu czynny współdziałanie dzieci rozwija się w całej pełni. Podczas dużej pauzy chłopczyk bibliotekarz wypożycza książki z wspólnej biblioteczki. Jaś doprowadza klasę do porządku, myje ręce i je śniadanie. Na lekcji przyrody dzieci pokazują liście jesienne, które nauczyciel polecił im zebrać. Porównują je, wyszukują podobieństwa i różnice, klasyfikują według tego, rysują, notują spostrzeżenia. Nauczyciel poleca zauważenie, które drzewa zachowały jeszcze liście zielone. Ostatnią lekcją są roboty ręczne. Klasa lepi z gliny, lub wycina z kolorowego papieru, nalepia liście jesienne, tworząc szlak do ozdobienia sali. Przed wyjściem ze szkoły trzeba jeszcze sprawdzić temperaturę dnia, stan pogody i inne dane do kalendarza. Jaś idzie na przechadzkę, gdzie obserwuje drzewa jeszcze zielone. Wracając, musi policzyć okna domu, bo to ma zadane z arytmetyki. Rysuje swego pomysłu kompozycję z liści do lekcji rysunków.

(d. c. n.).

Marta Rzewuska.



## JAN KILIŃSKI

SZEWEC WARSZAWSKI  
PUŁKOWNIK XX REGIMENTU PIECHOTY  
W POWSTANIU KOŚCIUSZKOWSKIM ROKU 1794  
NA TLE PAMIĘTNIKÓW WŁASNYCH

Urodzony w Trzemesznie w roku 1760 z ojca Augustyna architekta mularskiego i matki Reginy, w roku 1780 jako młodzieniec 20 letni przybył Jan Kiliński do Warszawy i z zamiłowaniem oddał się kunsztowi szewskiemu, którego nie porzucił, będąc nawet w niewoli i po powrocie do kraju, jako zasłużony dygnitarz wojskowy. Z małżeństwa z pierwszą żoną: Marjanną z Rucińskich miał dwóch synów i dwie córki, z drugiego, w związku ślubnym z Anastazją z Jasińskich miał dzieci troje. Jako przykładny ojciec troskliwie zajmował się wychowaniem swej dźiatwy, dając im przykład poszanowania zawodu szewskiego, którego synowie, ku jego zgorszeniu, nie zachowali.

Lecz oprócz rzemiosła, pociąg do pióra nie opuszczał Kilińskiego i temu to właśnie upodobaniu zawdzięczamy pamiętniki jego z czasów powstania Kościuszkowskiego, rozpoczęte w więzieniu petersburskim i drugi zbiór notat pamiętnikarskich, zawierających ogólny obraz kraju z czasów Stanisława Augusta, który dopiero w roku 1900 po raz pierwszy w całości przeze mnie w Krakowie, bezimiennie jako rzecz surowo przez cenzurę rosyjską zakazaną, wydany został.

Do pisania pierwszego pamiętnika zachęcił Kilińskiego towarzyszącemu jego niedoli w więzieniu Petropawłowskiemu Juljan Ursyn Niemcewicz.

„Chcąc, by miał jakąś zabawę — pisze Niemcewicz — poradziłem mu przez Kapostasa, aby pisał życie swoje od narodzenia swego. Podziękował mi za radę i tak uczynił. Jestto jedna z najdroższych produkcji. Od Cezara, aż do dni dzisiejszych tylu wodzów, statystów, literatów, panienek nawet, pisało swe pamiętniki, nigdy jednak nie słyżał o pamiętnikach przez szewca pisanych. Darował mi je Kiliński. Później odwdzieczyłem mu się za nie, może niedostatecznie. Szczerością, naturalną prostotą, wiernym obrazem obyczajów rzemieślniczej klasy ludzi, nieocenioną miały te pamiętniki ważność“.

Ogłosił je drukiem po raz pierwszy Wójcicki w roku 1831 w „oswobodzonej Warszawie“.

Korzon w *Dziejach wewnętrznych* za Stanisława Augusta uznaje owe pamiętniki za jedyny w swym rodzaju utwór litewski, przypominający *Historję Ludwika S-tego* przez Jouinville'a niegdyś w epoce krucjat skreślona i służyć mogący za pomnik najczystszej patriotyzmu i bohaterstwa.

Nierównie wszakże ważniejszym, jako dokument obyczajowy i charakteryzujący jego autora jest *pamiętnik drugi* Kilińskiego, o czasach Stanisława Augusta.

Prawnuk Kilińskiego Franciszek Samborski b. dzierżawca dóbr Bączki i Ruda pod Maciejowicami sprzedał był w r. 1867 autograf owego pamiętnika Bibliotece Ordynatów hr. Zamoyskich, gdzie się też obecnie znajduje.

Bez względu na brak literackiego uzdolnienia i nieudolną formę opowieści, całość owego pamiętnika nie jest pozbawioną doniosłości dokumentu, odtwarzającego psychologję mieszczaństwa warszawskiego z epoki ruchu przedpowstańczego 1794 i samego powstania Kościuszkowskiego, którego Kiliński był prowodyrem i typowym niejako wcieleniem.

Znakomity nasz pisarz ś. p. Józef Ignacy Kraszewski ogłaszając w r. 1868 w *Roczniku Towarzystwa historyczno-literackiego* w Paryżu, drobny pomienionego pamiętnika fragment, w następujących słowach określił jego znaczenie:

„Śmieszem byłoby sądzić Kilińskiego jako pisarza, a dzieło jego oceniać inaczej niż — sercem. W literaturach wszystkich narodów rzadkie są nader, szczególnie z epok ostatnich, takie pamiętniki ludzi, historyczne noszących imię, duszą i ciałem znakomitych, a wedle świata i szkoły nieukształconych. Ale literackiego śmiecia, naśladowań, małpiarstw i miernoty, mamy natomiast stopy. Nas więc niezraża to, że poczciwy Kiliński nie umie ortografji, nie zna sztuki pisarskiej i grzeszy przeciw mowie własnej, boć i ś. p. Henryk Rzewuski, jakkolwiek człowiek genialny, do pewnego stopnia jest takim niedouczone, jak Kiliński. Ale o naukę łatwiej, niż o talent, jak w Rzewuskim, a naówczas wszystko o dużej wielką, ofiarną, jak w Kilińskim“.

Całość drugiego pamiętnika przedstawia się jako rzecz niezmiernie zajmująca i ciekawa, zwłaszcza pod względem psychologicznym. Dopiero z zestawienia w jedną całość wszystkich wspomnień pamiętnikarza, zawartych w pierwszym petersburskim zarysie, z następnymi fragmentami, odtwarzającymi obraz czasów Stanisława Augusta, dałby się złożyć materiał historyczny, niezbędny dla każdego oddającego się badaniom nad dziejami mieszczaństwa warszawskiego na schyłku wieku XVIII-go.

Zazwyczaj widzi się historję z góry — sub specie aeternitatis. Tu zaś, we wspomnieniach Kilińskiego, poznajemy, jak była odczuwaną z dołu, widzimy, jak w arcy-szlachetnej duszy warszawskiego majstra szewskiego, pod wpływem wstrząsających wypadków wytworzył się zamęt, złożony z wybuchającej wielką falą miłości ojczyzny, przesądów kastowych, poczucia sprawiedliwości i bezwiednie wnikających doń prądów rozgrywającej się podówczas wiel-

kiej rewolucji francuskiej. Na ten ostatni zarzut wzdrygnąłby się Kiliński: on sam bowiem rewolucję tę potępiał i gardził nią. A pomimo to, pisząc swój pamiętnik, ani się spostrzega, o ile rola odegrana przezeń pomiędzy oswobodzeniem Warszawy, a udaniem się do obozu, w niejednym przypomina rolę niektórych członków paryżskiego konwentu.

Otóż, w tym drugim okresie czynności publicznej różnica pomiędzy nim, a rewolucjonistami, wydaje się na zewnątrz nie wielka. Kiliński wprawdzie ratuje życie króla od spisku, ale mu czyni despekta. Sam pchany strachem przed gniewem ludu, zmusza Radę Tymczasową do osądzenia i powieszenia Kosakowskiego, Ankwicza, Zabielly i Ożarowskiego. Pochwała samowolną przez lud dokonaną egzekucję biskupa Malinowskiego, oskarżonego o wymuszanie od biednej wdowy zbyt wielkiej zapłaty za pogrzeb męża, każe go w nocy przyprowadzić do siebie, grozi mu natychmiastową śmiercią i widokiem kata skłania do poprawy i skruchy. Następnie, w skutek rzekomo prorocznego snu, biegnie wstrzymać egzekucję żołnierza, skazanego za czyn niesubordynacji. Chłopców szkolnych posyła, aby wezwanego na zamek prymsa Poniatowskiego eskortowali z hańbiącymi okrzykami. Przed pałacem tego prymsa stawia szubienicę i samem podnieniem ludu zmusza króla do podania bratu trucizny.

Między Kilińskim, a Jakóbinami, leży mniej różnica czynu, niż przepaść intencji. To, co oni czynili w podłych, ambitnych celach, było u niego wynikiem tegoż samego zapалу, który wygnał wroga ze Stolicy, wynikiem boleści i oburzenia na zdrajców, które chwilami przechodziło w szal. Wyniesiony własnymi czynami na szczyty popularności, jakiej od niepamiętnych czasów nikt w Polsce nie zaznał, obdarzony udziałem w Rządzie, przechodzącym nie jego zdolności, lecz doświadczenie i wprawę — tracił po części głowę — i nie dziwi! Co dziwniejsza, to, że prócz naiwnej radości z ogólnych oznak szacunku, lub uwielbienia, nie widać w nim nigdy myśli zwróconej ku samemu sobie. Nietylko, że ze złupionych beczek złota i srebra, z przyjętych kosztowności, ani z wykonywania urzędu najmniejszej materjalnej nie ciągnie korzyści, lecz ów szewc warszawski okazuje się wspaniałym i hojniejszym od niejednego zdobywcy. Za własne pieniądze uzbraja i ubiera cały przez siebie na rozkaz Kościuszki zwerbowany pułk, poświęca swoje mienie, swoją krew, swoją wolność i nad tem tylko biada, że Ojczyzny uratować nie zdołał. (d. c. n.).



Po przejrzeniu jednak przekonywa się, że bynajmniej. Przeciwnie: dowiaduje się, że to po nim się właśnie bank i ogół spodziewa, iż zostawi spadek swoim dzieciom. Na pięknie glansowanym, zdobnym w winjety i figliki papierze czyta, wystosowane wprost per ty, do siebie słowa:

— Czy chciałbyś dostać 10.000 spadku? Czy, gdybyś zaczynając swą karierę, miał w ręku te pieniądze, nie stałbyś dzisiaj o wiele wyżej niż stoisz w przedsiębiorstwie, interesach i własności? Niestety, nie miałeś ich! Bo nikt nie pomyślał, aby ci tę pomoc okazać. Sam sobie mozolnie torowałeś drogę, zużywając siły, czas i energję, którąbyś mógł zachować. Dziś nadszedł dzień, abyś naprawił wobec swoich dzieci błąd, popełniony na tobie. Złóż jednego dolara na księżeczkę w naszym banku natychmiast, skoro przeczytasz to zawiadomienie! Ten jeden dolar może ci przynieść nieobliczalne zyski. Trudnym jest tylko początek! Myśl o tem, jak dużo więcej będzie mógł zdziałać twój syn, skoro w dniu założenia przezeń własnego interesu wręczysz mu, jako prezent, lub jako pożyczkę, naszą księżeczkę bankową na 10.000 dolarów!..“

Banki w swej altruistycznej działalności są niezmiernie przewidujące. Gdzieś więc około wielkiejnocy klient jest zaskoczony, naprzykład, takim bankowym billetem doux, na którym się prezentuje ślicznie wykonana choinka ze stosami ozdobnych pudełek u dołu, z obfitym stołem w oddali, aniołkami bawiącymi się śniegiem i t. d. Pod tem zaś wykwita ojcowskie upomnienie a sens i brzmienie mniej więcej podobne:

— W uroczystą rocznicę 25 grudnia po wszystkich domach będzie obchodzony familijnie, wzruszający obowiązek składania sobie wzajemnie życzeń i darów, stwierdzających wzajemne przywiązanie i pamięć. Życie jednak jest drogie, upominki—kosztowne. Czy pomyślałeś już o odłożeniu pewnej sumki, którąby ci pozwoliła przed świętami spokojnie i radośnie zakupić dla drogiej ci osób to, co uplanowałeś? Jeżeliś tego nie zrobił, najwyższy czas, abyś przystąpił do oszczędzania zaraz dziś. Tylko 85 centów! Odkładając, nieznacznie dla siebie, tę drobną sumkę co tydzień, będziesz za kilka miesięcy w posiadaniu kwoty, która ci umożliwi załatwienie świątecznych sprawunków bez pożyczki i bez naruszenia budżetu. Nasz kasjer czeka na ciebie!.. Przyjdź natychmiast, a przekonasz się, że jak tysiące ludzi, będziesz nam wdzięczny za pamięć o twoich interesach!“

Argumentacja, nieprawdaż, niezwykle niewymyślna, niemniej trafiająca do przekonania. Delikwent pomedytuje, poskrobie się, o ile jest polakiem, w głowę—i złoży dolara. Składałby go może nawet chętniej, gdyby nie fakt, że aż nazbyt często instytucja finansowa, zwłaszcza polsko-amerykańska najpierw bardzo głośno się reklamuje, zbierając wkłady, później bardzo niechętnie zdaje sprawozdania, obracając niemi w ścisłym

kółku wtajemniczonych, i wreszcie ogromnie cicho i z pominięciem wszelkiej demonstracji wynosi się do innego stanu pod inną firmą, pozostawiając rozgoryczonych rodaków w długim ogonku przed drzwiami Sezamu, gdzie zamieszkał już zgola kto inny. Po tej ekspedycji zostaje im nieco mniej „dularów“ (to „u“ jest wybitnie polskie), a nieco więcej doświadczenia, iż ludziom, a zwłaszcza—rodakom—wierzyć zbytnio nie należy. Reklama jest jednak tak przekonywująca i posiada czar tak nieodparty, dzięki perspektywom przyszłych zysków, jakie maluje, że człowiek się chwieje. I skoro o dwie ulice dalej wykwitnie ponętym szyldzikiem jaka nowobrzmiąca firma, wyławiająca „dulary“ rodaków na inny interes i na odmiennym papierze—biedny polonus pomyśli, poskrobie się znowu w głowę i znowu złoży swoje krwawe centy na nową rakieta, która błysnie, wzbije się w górę—i pęknie, pozostawiając tylko trochę niemilej woni. Ile takich twardych groszy ciemnego polskiego wychodźcy poszło do kabzy przedsiębiorców—rodaków, którzy za nie żyją, tyją i porastają w pierze, któż zliczy? Chyba polski Bóg, do którego stóp się chylił, odchodząc, na ostatniem rozdrożu swojej wioski, z pokorną, chłopską prośbą o opiekę i obronę swojej mazowieckiej ciemnoty—bo z pewnością nie rząd amerykański, gdzie liberalizm prawa jest mieczem dwustronnym. I rzadko który emigrant nie broczył serdeczną krwią, zanim się przedarł przez te oba ostrza do ukrytego za niemi anioła sprawiedliwości. Martyrologja polskiej dzielnicy, a zwłaszcza jej zaułków, kryjących nowoprzybyłą, bezdomną emigrancką rzeszę, bez języka i bez oparcia, bez znajomości prawa i bez samowiedzy osobistej—to epopeja czyściowa, która oddawna czeka na swego Danta. Epopeja zbyt mroczna i krwawa, aby można ją poruszyć powierzchni, nie zgłębiając, a zbyt powszednia, aby jej szarzyzny mógł się jać ktoś, kto jej nierozświetli blaskiem własnego geniuszu. I Milwaukee avenue w Chicago, posiadająca polaków tyle, co Warszawa, i Second avenue w New Yorku, i wiele innych dzielnic po wielu innych zakątkach olbrzymich Stanów amerykańskich, po ludnych miastach i głuchych moczarach—czekają. Zali nie żeglują ku nim od strony starego kraju taki Kolumb, który po wielu wiekach—odkryje nareszcie tę nieznaną, zgubioną za oceanem Nowo-polskę? I spisze dla świata i ojczyzny jej historję, bajeczną a prawdziwą? Taki Mojżesz, który nareszcie zbierze rozpięchłe rzesze polskie w jedno, i wykuje dla nich spisowy dekalog przykazań—nowych przykazań do nowych warunków życia, które stąpa poprzez dawne prawdy i ostoje, wzamian nie dając nic? Okrety od Polski idą, idą suto. Ale przywożą zawsze nieomal jedną kategorię proroków, którzy meldują się imieniem głośnych stronnictw, klubów lub instytucji, nabierają emigranta na leżkę narodową, wyciągają ogromnie pomysłowo odporne dolary na jakieś

niezmiernie wzniosłe cele—i giną, jak senne marzenie, pozostawiając jedynie, jako ślad swego istnienia, zaprzeczenie ze strony klubów, stronnictw i instytucji, że takich delegatów nigdy nie wysyłały. Ile z tych sum istotnie przeszło do Polski? Pytanie. Ale jeżeli mamy protensję do bolszewików, że bezczeszczą kościoły, osłaniając się w ornaty, by do nich nie strzelano: jak mamy nazwać polaków, którzy bezczeszczą Polskę, przykrywając się jej sztandarem, aby ich nie ściągano? Ufajmy, że nomenklatura wychodźcza ostempluje ich odpowiedniem do zasług mianem, gdyż tak zwane tam łapichłopstwo tego pojęcia nie wyczerpuje.

\* \* \*

Jak bezceremonjalny i pomysłowy łup urządzają sobie łapichłopi polsko-żydowscy z ciemnego emigranta, może uwierzyć tylko ten, kto to widział na miejscu. Dopiero tam, na gruncie wszechnarodowej konkurencji, uwydatnia się cała nieprzebita ciemnota takiego polskiego Wojciecha czy Macieja z Psiej Wólki na mazurach. Czarny kadłub międzypokładu okrętowego wypluł go wreszcie na bruk Newjorski, po nieskończonych udręce formalności lądowniczych, które go ogłuszają, po pytaniach, których nie rozumie, po nakazach, co ma robić dalej, których nie może pomieścić w swojej biednej, mazurskiej skołtunionej głowie. I stoi ze swym rozbitym w drodze i powiazanym sznurami kuferkim, malowanym w kwiaty, który mu tak pięknie, zdawałoby się, okuł kowal w jego rodzimych Głodomorach. Gdzie się obróci? Olbrzymia, świetna perspektywa amerykańskiej ulicy leci wprost na niego ruchomą lawiną automobilów, dzwonieniem tramwajów, ogłuszającym łoskotem pociągów, które mu przelatują nad głową, sygnałami policji, wielotysięczną rzeszą tłumu, który go potraça, popycha i mija, nieustanny a ruchomy, jak piasek w kalejdoskopie. Zaledwie stanie, musi iść, bo tłum go unosi. Zaledwie chce zejść z chodnika, najeżdża go automobil, zaledwie umknie z jezdni, naciera nań tramwaj. Jak owi skazańcy, dręczeni na wymyślnych dworach magnackich, ma tylko jeden kąs, gdzie niedźwiedz go dosięgnąć nie może—pomiędzy filarami górnej kolei, gdzie może zaczekać znaku policjanta, wstrzymującego jak zaklęta różdżka lawinę ruchu na jezdni na korzyść tych, co muszą ją przeciąć poprzecznie. Taki sam ciasny zakątek bezpieczeństwa istnieje dlań zapewne i na wielkim torze życia Nowego świata. Ale zanim go znajdzie, i jak go znajdzie? Jak dotrze do miejsca, które czeka na niego właśnie, Wojtka Niemrawę z Twardej-Doli, na jego dwie żyłaste, spracowane ręce, na jego chłopską wytrzymałość, na jego, schylony pod jarzmo pracy, roboczy kark? Na jego nieumienie przeczytać umowy, którą stwierdza ślepym krzyżykiem, na jego mazurską ciemnotę, na jego krwawy grosz?

(d. c. n.).



## KSIĘGA UMARŁYCH

— Czyszcze, sprzątam, pilnuję mieszkania, jaśnie panie. Wszystko, co tylko nieboszczyk starszy pan cenił sobie i lubił, chowałem u siebie, pod kluczem... Jaśnie pan sam się może przekonać...

— Dobrze, dobrze. to później! — mruknąłem dosyć niechętnie. Wydało mi się, że Józef zacznie tłumaczyć i „kręcić“ z powodu różnych tam drobiazgów, które mogły uleść zniszczeniu lub zawieruszyć się przez tyle czasu w bezpiecznym domu. Ale on rzekł nagle, czyniąc krok naprzód:

— Przepraszam najmocniej jaśnie pana za to, co powiem. Śmiem zapytać, czy długo tu będą mieszkali te panie... Pani Bielawska z córkami?

— To ja właśnie chciałbym się od Józefa dowiedzieć, skąd one się tu wzięły?

— Tak i ja sobie myślałem — szepnął i nagle, z widoczną determinacją rozgadał się na dobre. Opowiedział, że przyjechały przeszło pół roku temu. Przedtem mieszkanie wyglądało, jak cacko, chociaż z rek wizycjami nieraz była bieda. On, Józef, buntował się przeciw temu najazdowi, nawet do pana plenipotenty ze swoim zdaniem wystąpił, ale darmo. Powiedziała podobno pani Bielawska, że krewna, że kuzynka, że sam nieboszczyk mógłby z grobu zaświadczyć. Że uciekinierki, że mieszkania nie mają... Ha! Może i kuzynka, bo po imieniu starszego pana nieboszczyka nazywa, ciągle się na niego powołuje! On, Józef — przeprasza bardzo — niezupełnie chciał wierzyć, bo przez dwadzieścia lat nigdy tego nazwiska nie słyszał.

Sprowadziły tu tyle rzeczy, że teraz ładu dojść nie można. Miały sobie mieszkania [szukać, że niby tu chwilowo, ale teraz jakoś o tem ucichło... — zakończył wreszcie i spojrzał na mnie pytająco.

— Matka i dwie córki, tak?

— Trzy, jaśnie panie, ale gości przyjmują dużo. I ciągle u nich ktoś mieszka. a to bratowa z dziećmi, a to szwagier, a to dwie kuzynki, te panny Ignatowicz...

— A panny Bielawskie co robią? Uczą się? Pewno jeszcze? Młodsza ma chyba ze siedemnaście lat?

— Ma, albo i więcej. Na kursa ogrodnicze chodzi. A panna Melania na fortepianie gra i też się uczy... Filozofji, czy coś... Panienki niczego, nie można powiedzieć, ale mamusia!

— No — przerwałem, widząc, że konfidencje ustępują miejsca plotkarstwu — dosyć. Niech mi Józef herbaty tu do pokoju przyniesie. Na obiad pójde do restauracji później.

— Uważam, jaśnie panie — odparł, w okamgnieniu przybierając postawę *correct* i wyraz kamiennej powagi.

W chwilę po jego wyjściu rozległo się ciche stukanie.

— Proszę wejść — rzuciłem, sądząc, że to służący czegoś zapomniał i wraca. We drzwiach stanęła panna Mela Bielawska.

Zerwałem się z kanapy, mówiąc „przepraszam“, tonem cokolwiek pytającym.

— To ja przepraszam — odrzekła panna dość śmiało. Podeszła bliżej i podała mi rękę na powitanie. Przyszłam zabrać niektóre rzeczy z szafy... U siostry nie dało się to pomieścić.

Otworzyła skrzypiący mebel i poczęła wybierać na półkach jakieś przedmioty. Stałem pod oknem w postawie wyczekującej, rozważając, że należałoby z czemś się odezwać do nowej znajomej.

— Wypał się pan przynajmniej? — zagadnęła znienacka, wychylając głowę zza otwartych drzwi szafy.

— Tak, dziękuję. Spałem, rzeczywiście, jak kamień... I długo.

— Po takiej drodze...

I nagle, wychodząc na środek pokoju, rzekła zupełnie innym tonem:

— Właściwie... to nam niezmiernie przykro, że zrobiliśmy panu porucznikowi niemilą niespodziankę...

— Ależ, pani...

— No, no — przerwała swobodnie — niech pan nie rzuca zdawkowych słówek uprzejmości towarzyskiej. Wiem, że pan jest bardzo dobrze wychowanym człowiekiem i nie powie wprost tego, co myśli. Co do mnie, rozumiem doskonale, że to wcale nie miło, wróciwszy do siebie po tylu latach, zastać w domu tłum obcych osób, rozgardjasz... Musi pan w duchu złorzeczyć nam porządnie i posyłać „k'czortu“ jak to się u nas mawiało, na kresach.

— Ależ, zapewniam panią...

— Zresztą, nie będziemy długo zawadzać. Oddawna już szukamy mieszkania. Mama biega w tej sprawie po mieście od rana.

— Przykro mi, że mama pani się trzdzi i to z mojego powodu. Właśnie zamierzałem uprzedzić panie, że to ja się stąd wkrótce usunę. Wyjeżdżam na wieś, czekam tylko wiadomości.

— Wyjeżdża pan? Na wieś?

— Tak.

Do siebie?

— Tak, pani.

Panna Mela westchnęła.

— Szczęśliwy, pan, że ma dokąd wyjechać — rzekła melncholiwnie. Rozumiem doskonale, co to znaczy móz wrócić do siebie. I myśmy miały swój kąt.

— Panie z kresów pochodzą, nieprawdaż?

— Z kresów? Nie. Urodziłyśmy się w królestwie, ale pod Koziatynem miałyśmy ładny domek i trochę ogrodu. Ojciec zarządzał jakąś cukrownią, niedaleko. Ładnie tam teraz musi wszystko wyglądać... — szepnęła z goryczą i zaraz zmieniła temat.

— Może ja przeszkadzam panu?

— Ależ bynajmniej, panno... panno...

— Melu! — roześmiała się. Brzydkie mam imię. Niestety, to u nas rodzinne. Każda najstarsza latorośl płci żeńskiej otrzymywała na chrzcie imię Melanja, wraz z pudełeczkiem safianowem, w którym się mieścił pozłacany nóż, łyżka, widelec...

— To, mam wrażenie, dosyć zakorzeniony zwyczaj — wtrąciłem wesoło, ujęty jej poufale-żartobliwym tonem.

— A tak. Dużo jest u nas różnych

tych tradycji. Naprzykład... w wychowaniu młodych panien. Nauczają się trochę malarstwa, trochę gry na fortepianie, czasem nawet dużo filozofji — a potem, jak Fortuna brew zmarszczy, niewiadomo, czego się chwycić białymi rączkami...

Wysunęła szczupłe, rzeczywiście dość białe dłonie, przed siebie, jakby dla zademostrowania, że takie właśnie miała na myśli. Dopiero teraz przyjrzałem jej się bacznie. Twarz podłużna, o tonie bladżółtawym, z wąską linią ust brzydko czerwonych... Broda nieco wysunięta i ostra. brwi cienkie, oczy... Tak, oczy miała panna Mela Bielawska niezwykle: czarne, o ciepłym odcieniu złotawym, głęboko osadzone, w oprawie rzęs krótkich, a gęstych. Zdawały się te czarne źrenice co chwila rozszerzać i zwięzać, przemawiać jakimś innym językiem, wyrażać inne myśli: niż te, które wypowiadały usta.

Cała reszta składała się już tylko na zupełnie przeciętną sylwetkę dość młodej, dość szykownej panny. Olbrzymia kokarda we włosach rozstrzępionych bezładnie nad czołem, [miała w sobie coś] wyzywającego, również jak [nogi w jedwabnych pończochach, tak niepokojąco cienkie] w kostce, że zdawały się grozić złamaniem przy lada gwałtowniejszym ruchu.

Zaledwie panna Mela skończyła mówić, a ja obserwować, wszedł Józef z herbatą na tacy. Obrzucił pannę Bielawską surowym spojrzeniem i postawił herbatę na stoliku.

— To ja już sobie pójde... — rzekła panna Mela, podając mi znów rękę na pożegnanie. Od jej palców cienkich i białych szedł jakiś prąd dziwnie ciepły i miły.

— Pani będzie tak dobra powtórzyć mamie...

— Ależ, owszem! Będę tak dobra! Powiem jej nawet, że pan usilnie błaga, abyśmy korzystały jaknajdłużej z gościny — roześmiała się znowu i znikła.

Zauważyłem dopiero teraz, że Józef pozostał w pokoju. Przez chwilę kręcił się, ocierając z mebli jakieś niewidzialne pyłki, wreszcie rzekł:

— Przepraszam, jaśnie panie, że się ośmielę zapytać. ale takbym chciał wiedzieć... [Czy nieboszczyk pan [mój] [długo chorował w tym Paryżu?

— Wszystkiego razem parę tygodni, Józefie.

Służący się zawahał:

— A... cierpiał bardzo?

— O ile wiem, nie cierpiał długo. Zmarł prawie nagle w nocy.

— Ach, tak? To chwała Bogu, że choć tak. I po chwili dorzucił:]

— Przepraszam jaśnie pana i dziękuję. Zatrzymałem go wychodzącego:

— Teraz ja o jedno Józefa poproszę: niechno Józef nie [sądzi tak] tem [jaśnie] państwem. Nie lubię tego, a przytem, teraz inne czasy. Józef o tem nie wie?

— Przepraszam... jaśnie pana. Ja tak już od młodości przywykłem nazywać jaśnie pana nieboszczyka, a mój ojciec, który był stangretem jeszcze u wielmożnego [Dziada pańskiego, nigdy inaczej nie mówił. Moge się, jaśnie panie, postarać, ale trudno z tem będzie... (d. c. n.)



## Szkoła gospodarstwa wiejskiego w Puławach.

Widok Puław wywołuje w nas szereg wspomnień historycznych i refleksji w związku z przyszłością narodu. Jeżeli tu na schyłku XVIII stulecia żyli ludzie, którzy tak silnie wywarli piętno na swą materialną spuściznę, że jeszcze dziś mówią do nas tajemnym językiem ducha, co nie zna rozdziału czasów, jeżeli to piętno wywarli tak silne, że słuchacze mieszczącego się tam studjum rolniczego, nawet za rosyjskich czasów, przejmowali się najszczytniejszymi ideałami narodowymi i do dziś chlubią się mianem puławiaków, synonimem niemal rozumnego i zacnego obywatela — to dlatego, że ci ludzie XVIII wieku, nie tylko kochali Polskę, ale pracowali dla Polski.

Z tem wrażeniem dostojności pracy, jej konieczności dla postępu prawdziwej kultury, stajemy wobec teraźniejszości, która według dzisiejszych potrzeb użytkowej historyczną siedzibę dla dobra kraju. — W Puławach, jak wiemy, mieści się Naukowy Instytut Wiedzy Rolniczej. W kraju tak rolniczym jak nasz, — to placówka pierwszorzędnej miary. Tu zamilowani adepci nauki czerpią pogłębienie swej wiedzy. W laboratoriach, polach doświadczalnych, ogrodach, stacjach hodowlanych, bakteriologicznych i t. p. gdzie wytwarzają nowe szczepionki przeciw chorobom zwierząt i roślin, wynajdują nowe bakterje działające na glebę i wzrost roślin lub zabijające szkodniki i t. d. i t. d.

To są wszystko rzeczy znane. Ale mało komu jest wiadome, — ogół zaś kobiet zajmować powinno, że w Puławach założoną została od lat paru „Wyższa Szkoła Gospodarstwa Kobięcego“. Uczelnia ta zamierzona jest na wysoki poziom i dlatego umieszczona w Puławach, by mógł korzystać z wykładów najlepszych profesorów, a zarazem mieć warunki wsi — ogród, pole, własne gospodarstwo i możliwość korzystania w pewnej mierze z różnych urządzeń Instytutu Rolniczego. Szkoła została założona przez Stowarzyszenie Zjednoczonych Ziemianek i jest szkołą Imienia Maryi Kretkowskiej długoletniej zasłużonej przewodniczącej Stowarzyszenia. Ziemianki zrozumiały tę uczelnię, jako podstawę i koronę swych prac

na polu szkolnictwa gospodarczego, bo pracując od lat szeregu nad rozwojem i poprawą swoich gospodarstw, a także prowadząc przez lat kilkanaście szkoły gospodarcze dla dziewcząt wiejskich i borykając się z trudnościami znalezienia zawodowo wykwalifikowanych nauczycielek i kierowniczek do tych szkół, zrozumiały jak ważną rzeczą szkoła, która by chociaż w drobnej części zapobiegała tym brakom, — kształcąc zarazem zawodowo wykwalifikowane kierowniczki własnych gospodarstw.

Kuratorjum wybrane wśród ziemianek do opiekowania się szkołą, na wskroś przejęte było przeświadczeniem, że u nas rozbudzenie wśród ogółu kobiet zamiłowania do umiejętności gospodarczych jest ważną bardzo potrzebą społeczną. Że najliczniejsza — gospodyni chaty polskiej, nie może już gospodarzyć jak Rzepicha, jakimś instynktem wpojonym przez matki; — bo zmienione warunki ekonomiczne i społeczne wymagają od niej większej wiedzy zawodowej, by sprostać zadaniom uświadomionej obywatelki i gospodarczemu współzawodnictwu z innymi narodami. Że te same potrzeby ma mieszkanka dworu i większego gospodarstwa, a bardzo zbliżone — mieszkanka miasta i miasteczka, — bo od nich wszystkich zależy rozumne i umiejętne rozdzielanie i spożycie dobra powszechnego. Że zatem trzeba kraj pokryć siecią licznych szkół gospodarczych różnego typu i poziomu. Oczywiście, że zakładając szkołę w Puławach, ziemianki miały przedewszystkiem na myśli potrzeby wsi, pragnąc tam stworzyć Szkołę Główną gospodarstwa kobięcego wiejskiego.

Warunki w Puławach były idealne; — możność jednak wykorzystania tych warunków przedstawiała bardzo wielkie trudności.

Przedewszystkiem nie było pomieszczenia; — miasteczko było przez wojnę prawie całkowicie spalone. Tylko bardzo szczupłe grono uczennic mogło wysłuchać pierwszego dwuletniego kursu, pod naukowym kierunkiem Dr. Zygmunta Starzyńskiego, ze współudziałem innych profesorów, którzy bardzo przychylnie do idei prowadzenia takiej szkoły w pobliżu Instytutu się odnieśli. Ale po ukończeniu kursu trzeba było chwilowo szkołę zamknąć, bo prowadzenie w pierwotnym pomieszczeniu nie przedstawiało warunków rozwoju.

Ziemianki uzyskały od rządu dłuższą dzierżawę

miejscowości pod samymi Puławami, zwanej Ruda Czechowska, t. j. ogrodu, kilkunastu mórg gruntu i murów po zniszczonym domu i budynkach. Trzeba jeszcze było uzyskać odbudowanie tych ruin.

Dziś już to prawie zrobione, bo część gospodarstwa jeszcze się wykończyła, ale dom jest i wykłady mogły się rozpocząć. Około urzędzenia i zagospodarowania szkoły kuratorjum krząta się zabiegliwie. Dyrektorstwo szkoły objęła D-r Lucyna Moczulska — D-r Starzyński i inni profesorowie dopomagają z nie mniejszym, jak przy pierwszym kursie zapałem. Szkoła podzielona jest semestralnie. Od 1-go października rozpocznie się nowy semestr. Zgłoszenia przyjmuje biuro Ziemianek — Ś-to Krzyżka 13 lub Zarząd Szkoły — Ruda Czechowska pod Puławami. Podajemy te wiadomości szerszemu ogółowi kobiet, by z nich mogły skorzystać i zdobyć w szkole zawodowe wiadomości gospodarcze, — pomne, że Polska tak bardzo naszej umiejętnej pracy gospodarczej potrzebuje.

A. G.

## SPROSTOWANIE

W Nr. 44 w „Gwiazdach i Dolarach“ M. H. Szpyrkówny w szpalcie drugiej wiersz 28 zamiast „wzięła łazienkę“ powinno być „wzięła kąpiel“, wiersz 22 zamiast „Tifth Avenue“ powinno być: „Fifth Avenue“, co niniejszem prostujemy.

## OD REDAKCJI

Z braku miejsca dokończenie art. p.t.: „Zjazd samorządowej opieki społecznej“ zamieścimy w następnym numerze.

## Z TEATRU.

Niema chyba drugiego teatru nie tylko, w stolicy, ale w całej Polsce, gdzieby węzeł sympatii i porozumienia między sceną a widownią był zadzierzgnięty tak silnie, jak w teatrze im. Bogusławskiego. Szczęśliwym godłem dla niego stało się imię niezapomnianego twórcy pierwszej polskiej sceny, artysty z Bożej łaski, niestrudzonego pracownika w młodej wówczas i zielone jeszcze rodzącej owoce winnicy polskiej sztuki dramatycznej.

Dzisiaj, gdy z gron dostających umiejętnie dłonie kierowników literackich, dyrektorów, reżyserów i t. d. i t. d. tłoczą moszcz złoisty, ileż razy po przejściu niebezpiecznego procesu fermentacji, jakim jest prze-rodzenie się martwej litery autorskiego rękopisu na krwią pulsujące życie akcji dramatycznej, ileż razy niespodzianką smutną jest ten płyn mętny, kwaśny, cierpki, który się zapieni raptem w puharze sceny i miast krzepić widza, zatrzuwa go, miast upajać, przyprawia o zawrót głowy, miast orzeźwiać, odurza niezdrowym narkotykiem.

Takie przykre niespodzianki trafiają się na najpierwszych scenach, mieliśmy niedawno bolesny przykład braku porozumienia między publicznością a sceną na jednym przedstawieniu za życia pogrzebanej sztuki Wroczyńskiego p. t.: „Ona“.

W historii młodego teatru im. Bogusławskiego niema takich przykrych incydentów. Teatr ten od razu zdobył swoją publiczność, przyciągnął ją w ramiona, uściskał z dubeltówki, po staropolsku ugościł zacnym likworem. Serdeczne przyjęcie zrodziło przyjaźń, poufałość i wzajemne zaufanie. Widz idzie do teatru im. Bogusławskiego bez dreszczu niespokojnego oczekiwania, ale pewien, że wieczór spędzi przyjemnie, że go nie zerwie z fotela żaden zgrzyt, że go nie rozdraźni niedbała robota, że skromnego

szarego pracownika, zaharowanego po uszy ojca rodziny, stroskaną mamusię naprzykrzonych pociech, skwaszonego drożyną inteligenta, rozentuzjarmowaną pensjonarkę na popołudniowym przedstawieniu — teatr nie zlekceważy, nie ciśnie im z wielkopańskim gestem strzępów wirtuozostwa scenicznego, ale najdrobniejsze szkiełko, niedbale porzucone przez autora, pieczołowicie oczyści z kurzu, wyszlifuje, podniesie ku słońcu, by zamigotało tęczywami skrami i z figlarnym uśmiechem poda zdumionemu widzowi.

— A co? czyż nie brylant najczystszej wody?

I najsceptyczniejszy nawet widz napół rozśmieszony, napół przekonany zawoła:

— Ależ majstry! niechże ich...

I raz trafiwszy do tego miłego teatrzyku, gdzie się takie cuda robią małym kosztem, przychodzi doń drugi i trzeci raz, a potem już żyć bez niego nie może, jak emeryt bez swojej partji szachów.

— Jest tu jeszcze druga tajemnica powodzenia. Oto silnie zarysowana linja repertuaru. Ten teatr ma swoją ideologję, czego nie o wszystkich niestety, nawet najpotężniejszych, najbardziej zasobnych scenach polskich można powiedzieć.

Wskrzeszając arcydzieła, perełki, czasem nawet paciorki polskiej sztuki, daje nam retrospektywny jej obraz, podsuwa przed oczy widza czarodziejские zwierciadło, w którym on nie tylko swoją twarz zobaczyć może, ale zatarte nieco wizerunki ojców i dziadków, oblicza marsowe, jowialne, rubaszne, czasem bohaterские, zawsze polskie.

Pod tym względem teatr im. Bogusławskiego nie zawiedzie nas nigdy. Jeżeli da nawet, jako eksperyment, sztukę współczesną, bezwzględnie ciekawą psychologicznie, choć ideowo i rasowo niepolską, zaznaczy to wyraźnie na afiszu, że mamy do czynienia ze sztuką „z obcego życia“ jak to było z „Wędrowcem i kobietą“ Weronicza.

Ta lojalność, ta wyszukana kurtuazja, z jaką publiczność jest zawsze traktowana przez dyrekcję i artystów, zniewala i każe zamknąć oczy na pewne niedociągnięcia, na pewne niedokładności, jakie w teatrze rozporządzającym tak szczupłymi środkami, zawsze zdarzyć się mogą.

Praca, ta młodsza siostra geniusza, jest głównym atutem teatru im. Bogusławskiego w tej szlachetnej walce o lepsze, jaką toczyć musi z repertuarem, publicznością, — innymi scenami stolicy, a jest przecież ich tyle. — I wychodzi z tej walki zawsze zwycięsko. — Weźmy ostatnie tygodnie. W tym okresie, prócz wzmiankowanego wyżej Wędrowca i kobiety, gdzie operowanie tłumem i epizodyczne nawet role wykazały do pedanterji posuniętą staranność reżysera i aktora, — wystawiono „Damy i huzary“, Fredry, „Dziady“ Mickiewicza, „Młody las“ Hertza.

Ile epok odmiennych, jaka mozaika stylów, nastrojów, jak rozmaita skala twórczego napięcia! Napród szczyry, bezpretensjonalny śmiech Fredrowskiej krotchwili, potem najczystszy romantyzm z najwyższym, jaki można sobie wyobrazić patosem wieszczym w parze — „Dziady“, wreszcie realistyczna kartka z dziejów strejku szkolnego, — oto konspek-cik jesiennego sezonu.

Jak na teatr, który w swym personelu nie ma ani jednego „pierwszego tenora“ i musi go sobie wypożyczać z teatru „Rozmaitości“ i to b. wiele.

A coś więcej jeszcze, to to, że zarówno pod błękitnym mundurem huzarskim, który przez tyle lat niewoli musiał być surogatem ulańskich rabatów, jak pod czarnym płaszczem wileńskiego flarety i wygnańca, jak wreszcie pod mundurkiem gimnazysty, buntującego się przeciw Hlowajskim — biło i bije serce nasze, jest Polska, niesfałszowana, niepodzielna, wiekuiście żywa.

S. P. O.



## Z sali odczytowej

INSTYTUT POKAZÓW ŚWIETLNYCH.

20 z. m. odbyło się w sali w Filharmonii zebranie inauguracyjne Instytutu Pokazów Świetlnych, który ma na celu rozpowszechnienie filmów naukowych. Prof. Z. Heryng w słowie wstępnym podkreślił ogromne znaczenie kinematografu dla pedagogiki, walki z analfabetyzmem i propagandy życia naszego zagranicą. Dr. M. Stępowski wygłosił ciekawy odczyt o „Etyce i estetyce kinematografu”. Jako próbę przedstawiono na ekranie obrazy geograficzne i przyrodnicze. Prawdziwy entuzjazm wzbudził wśród publiczności widok płynnej lawy na wulkanach Hawaji, przepiękne obrazy wzrostu roślin, rozwijania się kwiatów i ogród zoologiczny w New-Jorku. Obrazy objaśniał prof. A. Czartkowski. Bardzo interesującym było przedstawienie życia pszczół. Oprócz tego pokazano nam bajki dla dzieci na tle przyrodniczym. Dowodem zainteresowania było przepełnienie sali publicznością, wśród której szczególnie reprezentowany był świat pedagogiczny, władze państwowe oraz prasa. Należałoby teraz tę wysoce pożyteczną akcję poprzeć realnie przez odpowiednie finansowanie.

## Z działalności Koła Polek.

SEKCJA PRZEMYSŁOWA.

Sekcja Przemysłowa Koła Polek otworzyła na *Bednarskiej 25* w Warszawie *reperowalnię*, która przyjmuje cerowanie pończoch i skarpetek, łątanie bielizny i sukien, oraz drobne przeróbki.

Jest to ważna placówka, która powinna zainteresować szersze koła, a zwłaszcza pracującą zarobkowo kobiety z inteligencji, które nie zawsze mają

czas i możliwość zajęcia się tak żmudną a konieczną pracą, jak łątanie bielizny i ubrań. Za niewielką opłatą można nawet bardzo zużytą bieliznę i odzież doprowadzić do porządku.

Reperowalnia przyjmuje uczennice na dogodnych warunkach do poszczególnych działów.

## Odpowiedzi Redakcji

„*Jelita*”. Rysunki i wzory, które Szanowna Pani nadesłała, są ładne i chętnie je umieścimy w jednym z następných numerów „*Bluszczu*”. Honorarium regulujemy zależnie od umowy.

„*Zofja Jaworzyńska*”. O monogramy postaramy się i umieścimy wkrótce.

„*Stała Prenumeratorka*”. Wyczerpujący artykuł o Seminarjach nauczycielskich umieścimy w grudniu lub styczniu.

„*Stała Prenumeratorka*”. Podajemy poniżej spis dzieł Eleonory Ziemięckiej:

1. Myśli o wychowaniu kobiet. Warszawa i Kraków 1843 r.

2. Studja. 1860.

3. Zarysy filozofii katolickiej w czterech poglądach zawarte. 1857. r.

4. Kurs nauk wyższych dla kobiet, obejmujący psychologię, etykę, pedagogję i moralność. Warszawa 1846.

Liczne artykuły w pismach warszawskich:

Tygodnik polski r. 1833.

Magazyn Powszechny r. 1837—1842.

Biblioteka Warszawska r. 1841,

Pierwiosnek r. 1838—1843.

Pielgrzym r. 1841—1846.

Pamiętnik religijno-moralny r. 1858.

Przegląd tygodniowy r. 1867.

## Treść № 45.

Z różdżką oliwną — *K. L.* Budżet społeczny, a budżet państwowy — *Witold Eychler*. Szkoła pracy — *Marta Rzewuska*, Jan Kiliński — *Aleksander Kraushar*, Gwiazdy i Dolary — *M. H. Szpyrkówna*, Księga Umarłych — *W. Miłaszewska*, Zjazd samorządowej opieki społecznej, — *Dr. Budzińska-Tylika*, Szkoła gospodarstwa wiejskiego w Puławach, *K. G.* Z teatru — *S. P. O.* Z sali odczytowej. Z działalności K.P. Dodatek powieściowy, Dodatek mód.

## Dr. M. TUCHENDLER

b. lekarz polikliniki prof. LESSERA  
Choroby skórne i kosmetyka-lekarska  
Choroby włosów, brodawki, swędzenie  
Od 11<sup>1/2</sup>—12<sup>1/2</sup>. Królewska 27, m. 1. Telefon 14-27.

**Kilimowe** warsztaty najnowszych systemów na składzie  
**NAUKA KILIMÓW**

**Inż. W. Żórawski**

ul. Wilcza 2, w Warszawie.

## PRZĘDZALNICZE

Małe maszyny do lnu i małe gremplowe do wełny wykonywa **FABRYKA MASZYN**  
w Warszawie,  
ulica Wilcza № 2. **Inż. W. Żórawski.**

## TOWARZYSTWO ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH KOŁA POLEK

PRZYJMUJE DO ROBOTY: KSIĄŻKI, BROSZURY, BLANKIETY,  
:: :: :: :: TABELLE, PLAKATY, ODEZWY i t. p. :: :: :: ::

WYKONANIE SZYBKIE, DOKŁADNE I TANIE.

TELEFON 244-18.

NAJLEPIEJ ODTŁUSZCZAJĄ MLEKO I SĄ NAJMOCNIEJSZE FIŃSKIE  
WIRÓWKI

## LACTA i MILKA

SPRZEDAJE

ZWIĄZEK SPÓŁDZIELNI  
MLECZARSKICH i JAJCZARSKICH  
Warszawa, Krak.-Przedmieście 6.

## OD WYDAWNICTWA

Prenumerata „*Bluszczu*”

miesięcznie - - - - - Mk. 2000.—

z odnośnieniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 6000.— Cena numeru pojedynczego Mk. 550.—

Zmiana adresu Mk. 300.—

REDAKCJA: Pałac Staszica (od ul. Kopernika) — Telefon 140-61.

ADMINISTRACJA: Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2, Koło Polek tel. 239-40.

## CENY OGŁOSZEŃ

| Strona         | Cała   | 1/2    | 1/4    | 1/8    | 1/16   |
|----------------|--------|--------|--------|--------|--------|
| Pierwsza . . . | 60 000 | 35.000 | 20.000 | 12.000 | 6.000  |
| Tekstowa . . . | 70.000 | 40.000 | 25.000 | 15.000 | 10.000 |
| Ostatnia . . . | 60.000 | 40.000 | 18.000 | 10.000 | 6.000  |

Klisze na koszt klienta.

**OGŁOSZENIA** przyjmują prócz administracji „*BLUSZCZU*”: Tow. Akc. „*REKLAMA POLSKA*”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK — Marszałkowska 115. L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „*NOWA REKLAMA*”, Duga 9 i I. Buchweitz—Marszałkowska 107.